

Matyszewski, Adam

"Miałem wydostać biskupów ze Słupna" : wywiad z Panem Lechem Mossakowskim, członkiem rodziny arcybiskupa A. J. Nowowiejskiego

Studia Płockie 36, 209-213

2008

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Lech Mossakowski

„MIAŁEM WYDOSTAĆ BISKUPÓW ZE SŁUPNA”

*Wywiad z Panem Lechem Mossakowskim, członkiem rodziny
arcybiskupa A. J. Nowowiejskiego.*

– *Mógłby Pan przybliżyć czytelnikom stopień swojego pokrewieństwa z Arcybiskupem Nowowiejskim?*

To była rodzina matki mojego ojca, która z domu nazywała się Chmielińska. Były trzy rodziny: Chmielińscy, Mossakowscy i Nowowiejscy – wszystkie herbu Jastrzębiec (do dzisiaj w katedrze jest herb Jastrzębca). Najprościej mówiąc Biskup Nowowiejski był siostrzeńcem mojej babki, czyli synem jednej z jej sióstr.

– *Jak wyglądały Pana spotkania z Biskupem?*

Od najmłodszych lat aż do rozpoczęcia przeze mnie nauki w szkole powszechnej, tj. do 14-15 roku życia, ojciec zabierał nas (mamę, mojego średniego brata Janusza i mnie) do pałacu biskupiego. Jeździliśmy do księdza Biskupa z życzeniami noworocznymi. Pamiętam, że ojciec i matka (Janina) zwracali się do Biskupa „Jego Ekscelencjo” (tak było wówczas przyjęte), a Biskup mówił im po imieniu – „Kaziu, Jasiu”. Odwiedzaliśmy Biskupa tylko raz w roku, ponieważ miał dużo obowiązków. Wiem, że mój ojciec był bardzo lubiany przez Jego Ekscelencję. Zawsze na zakończenie wizyty przychodził kleryk i darował nam (mnie i bratu) dużą torbę landrynow. Utkwiło mi w pamięci, że z tymi landrynkami wychodziliśmy z gościny.

– *Proszę opowiedzieć coś więcej o sobie...*

Urodziłem się 21.10.1919 r. w Pułtusku, gdzie mieszkałem pierwsze 4-5 lat życia. Do podstawówki uczyłem się w Trzepowie. Po dwóch latach nauki ojciec przeniósł mnie do szkoły Leona Dorobka przy ul. Jachowicza (obecne gimnazjum nr 6). Po jej ukończeniu rozpocząłem naukę w Gimnazjum im. Władysława Jagiełły w Płocku. Jeden rok uczyłem się również w Małachowiance, której absolwentem jest mój młodszy kolega Tadeusz Mazowiecki. Ostatecznie tzw. „małą maturę” uzyskałem w Jagiellonce, w roku 1935.

– *Może Pan powiedzieć coś więcej o znajomości z pierwszym Premierem III Rzeczypospolitej?*

Z Tadeuszem znaliśmy się od najmłodszych lat. Nasi ojcowie przyjaźnili się ze sobą. Mój był dyrektorem szkoły ogrodniczej w Niegłosach, a jego lekarzem w Bodzanowie. Mieszkali w Umieninie koło Płocka. Jego matka nazywała się z domu Szemplińska. Pochodziła z rodziny o głębokich tradycjach polskich i patriotycznych. Mieli w tym Umieninie mały majątek. Mój ojciec i ja często u nich gościliśmy. Tata, jako że był znawcą w sprawach ogrodniczych, pomagał Mazowieckim w zagospodarowaniu działki. Pamiętam, że z Tadeuszem jeździliśmy tam na koniach, choć mojemu młodszemu koledze wychodziło to dość niezdarne.

– *Gdzie uzyskał Pan maturę?*

Po ukończeniu Jagiellonki ojciec wysłał mnie do technikum ogrodniczego w Warszawie, które mieściło się przy ul. Nowogrodzkiej. Po zdobytej tam maturze odbyłem służbę wojskową. Wszystkich brano wówczas do wojska, do „Podchorążówki”, ponieważ w powietrzu wisiało niebezpieczeństwo wojny. Do Płocka wróciłem w sierpniu 1939 roku. W czasie kampanii wrześniowej brałem udział w walce z Niemcami koło Mławy. Tam budowaliśmy bunkry karabinów maszynowych. Byłem w grupie saperów. Wycofywałem się stamtąd do Płocka wraz z 70-80 taborami, przechodziliśmy przez Biezuń, Żuromin. Potem znalazłem się w Łącku, skąd szliśmy do Warszawy, przechodziliśmy przez most w Modlinie, skręcając w lewo na Miłosną, Sulejówek, Rembertów. Stąd przebijaliśmy się do stolicy, którą otaczali Niemcy. Brałem udział w jej obronie. Kiedy Warszawa poddała się, zdobyliśmy z bratem kozuchy kolejarские i bryczką przyjechaliśmy do Płocka. Po drodze wsadzili nam dwie Niemki. Niemcy pytali, kto jedzie do Schröttersburg – Płock i myśmy się zgłosili, że te dwie Niemki weźmiemy. Brat mój był taki dowcipny, że pod siedzeniem schował broń – dwa karabiny z amunicją, a wówczas nie trudno było o rewizję. Gdyby nas wtedy złapali, to nie wiem, jak byśmy skończyli.

– *Czym się Pan zajmował po powrocie do Płocka?*

Jeszcze w 1939 r. wstąpiłem do podziemnej Polskiej Organizacji Zbrojnej. Po przeszkoleniu w Warszawie, na początku 1940 r., mianowano mnie szefem kontrwywiadu AK na Północnym Mazowszu. W Kieleckim likwidowaliśmy bandy rabunkowe, konfidentów. Miałem również za zadanie zorganizowanie kontrwywiadu, a szczególnie punktów przerzutu ludzi przez granicę, ponieważ była tu masa aresztowań, zwłaszcza osób wywodzących się z inteligencji. Całe rodziny uciekały z tych terenów – z Brodnicy, Torunia, Bydgoszczy, Gdyni, Gdańska. Trzeba było ich przerzucić do Generalnej Guberni. Razem z bratem i kolegami z POZ pomagaliśmy, nie patrząc na czyjeś pochodzenie, jak trzeba było pomóc, to się pomagało. Niemców też przerzucałem – ewangelików, którzy nie chcieli przyjąć obywatelstwa niemieckiego – oni też uciekali. Pamiętam np. rodzinę Eisele. Było kilka rodzin niemieckich, które przerzuciliśmy.

– *Udało się Panu uratować Żydów?*

Tak, uzbierałoby się około dwudziestu, może trzydziestu osób. Człowiek nie patrzył na pochodzenie, tylko pomagał z pobudek ludzkich, chrześcijańskich. Wielu z nich żyje do dziś, pamiętam niektóre nazwiska.

– *Czy zdarzyli się tacy, którzy przyszli po wojnie podziękować?*

Dwie, może trzy osoby przyszły. Mój kolega z AK, Antoni Gawrylkiewicz, uratował w czasie wojny dziewiętnastu Żydów. Władze Izraela prosiły, żebyśmy dali mu uprawnienia kombatanckie i za wszystko zapłacili. Tak też się stało. Po wojnie zaprosili Gawrylkiewicza do siebie, żeby posadził drzewko.

– *Aresztowania i wywózki nie ominęły wielu księży...*

Tak, aresztowano wtedy również naszych Biskupów i zaraz wywieziono ich do Słupna.

– *Jak wyglądało życie Biskupów w czasie internowania w Słupnie?*

Do Słupna Biskupi zabrali ze sobą tylko dwa materace, jedno połamane łóżko, 2 krzesła i fotel biskupi, który miałem przez pewien czas w domu. Po wywiezieniu Biskupów do Działdowa wyniosły go stamtąd nasze łączniczki. Obecnie, wraz z innymi pamiątkami rodzinnymi jest on u mojego syna w Warszawie. Tu w zasadzie Niemcy ich nie pilnowali. Przyjeżdżał tylko raz w tygodniu folksdojcz, żeby dali pieniądze, to on im kupi zaopatrzenie. Opiekowała się nimi również okoliczna ludność.

– *Czyli na dobrą sprawę mogli stąd uciekać?*

Mogli, ale nie chcieli. Dostałem rozkaz od moich dowódców Rogoza – Rogozińskiego i Władysława Wochowskiego, pseudonim „Zośka”, aby nawiązać z nimi kontakt przez nasze łączniczki, a następnie przerzucić Biskupów do Generalnej Guberni.

– *Czyli ktoś z ramienia wojska kontaktował się wtedy z Biskupami?*

Mieliśmy dwie łączniczki. Pierwsza – Halina Szewczykiewicz, pseudonim „Sarna”, która była również łączniczką zastępcy Komendanta Polskiej Organizacji Zbrojnej. Druga nazywała się Antonina Watras. Niemcy więzili ją jakiś czas w obozie w Ravensbrück. Obie już nie żyją, zmarły w latach siedemdziesiątych.

– *Co należało do ich zadań?*

Zaopatrywały Biskupów w niezbędne rzeczy, były źródłem informacji ze światem zewnętrznym. Tylko one z ramienia wojska mogły się z nimi kontaktować. Chodziło też o pewne dyspozycje, przekazywanie informacji innym księżom.

– *Rozumiem, że namawianie Arcybiskupa, aby dobrowolnie opuścił Słupno nie przyniosło efektu?*

Biskup kategorycznie odmawiał wywiezienia poza Słupno, choć tłumaczyłem Mu, że mam taki rozkaz. Powiedział wtedy, że nie zostawi swoich owieczek. Uparł

się, A trzeba było się nie pytać, tylko brać ich na siłę, wsadzić na wóz i jazda przez Wisłę. Mieliliśmy punkty przerzutowe i ludzi, wszystko było przygotowane.

– Gdzie miał trafić Arcybiskup w razie pomyślnego przerzucenia przez granicę?

Początkowo miał być przerzucony w kieleckie do miejscowości Nieklań za Skarżyskiem Kamiennym, miał mieszkać u proboszcza na plebanii położonej w lesie. Była również myśl o przewiezieniu Go do Warszawy.

– A potem wywieźli Biskupów do Działdowa...

Tak, znęcali się tam nad nimi okrutnie. Opowiadał mi potem jeden z moich żołnierzy, któremu udało się stamtąd uciec, jak kopali Księży. W obozie pracował też pewien kowal, był świadkiem, jak Niemcy pastwili się nad Biskupami; walił młotem w kowadło, żeby nie słyszeć tych jęków. Kazali im podeptać krzyż, ale oni nie chcieli się na to zgodzić, dlatego ich torturowali... do nieprzytomności.

– Jakim obozem było Działdowo?

To była tzw. „przejściówka”. Część aresztowanych kierowali do Działdowa, gdzie dokonywano segregacji, innych, nie nadających się do pracy przerzucali Niemcy do Generalnej Guberni, a część mordowali na miejscu. Tak zginęli nasi Biskupi.

– Czy Pana też próbowano aresztować?

Dowiedziałem się, że mnie szukają od ojca, którego jeden z uczniów był Niemcem i przekazał nam tę informację. Wcześniej trzech z naszych łączników wpadło w ręce gestapo, poddawani torturom wskazali miejsce mojego zamieszkania. Był rok 1942, pewnego dnia kilku Niemców wtargnęło do naszego domu w Brochocinie. Korzystając z chwili czasu, kiedy robili rewizję (szukali dokumentów, zdjęć) uciekłem przez okno, uratował mnie zamek w drzwiach i to, że szybko biegałem (swojego czasu byłem szkolnym wicemistrzem Polski w biegach przełajowych); zanim wyważyli drzwi zdążyłem odskoczyć 70-80 metrów, a oni strzelali do mnie z pistoletu – „siódemki”. Trafili mnie w rękę, na szczęście niegroźnie. Uciekałem co tchu w stronę Trzepowa i Niegłosów, gonili mnie 7 km. Mieli rozkaz wykonać na mnie wyrok śmierci przez ścięcie toporem.

– Jakie były Pana losy po wojnie?

W 1945 r. przyszedł rozkaz rozwiązania AK. Jednak generał Nil, któremu podlegał wywiad i kontrwywiad, polecił wejść tym organizacjom w ścisłą konspirację. Chodziło o ratowanie naszych ludzi, którym groziło tu na miejscu – w kraju – aresztowanie. Byłem wtedy w stopniu podchorążego, nie tak dawno otrzymałem od Komendy Głównej AK nominację na stopień podporucznika czasów wojny. Po roku 1945 musiałem się ukrywać, ponieważ cały czas byłem na celowniku. Dopiero w latach 70-tych, gdy przeszedłem na emeryturę, wróciłem w rodzinne strony. Po wojnie aresztowało mnie UB, pytali czy wiem jakie jest prawdziwe nazwisko niejakiego Barskiego (to był mój pseudonim). Jak mnie aresztowali

codziennie pisałem w życiorysie (było ich ze dwieście, ciągle to samo pisałem), że nie wiem, itd. W końcu mi się uprzykrzyło i powiedziałem, że to ja jestem Zbigniew Barski, a oni: „Haha, ty to za głupi jesteś, żebyś nim był”. Potem mieszkałem na Dolnym Śląsku, organizacja mnie przerzucała w kolejne miejsca. Reasumując to wszystko, co przeżyłem w czasie wojny... Gdybym był niewierzący, nikt by mi nie wytłumaczył tych cudownych ocalań od śmierci. Wszystko było w ręku Boga.

– Czym się Pan zajmował po roku 1990?

Na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy premierem został Tadeusz Mazowiecki, zaproponowano mi funkcję pełnomocnika ministra do spraw kombatanckich. Zgodziłem się pod warunkiem, że będzie to praca społeczna. Jeśli bierzesz pieniądze, to musisz robić tak, jak ci płacą.

– Wracając do spotkań z Arcybiskupem, jakiego Pan Go zapamiętał, jakim był człowiekiem?

Uroczym był człowiekiem, bardzo przystępnym, zawsze miał na twarzy uśmiech pełen dobroci; pogodny był. Zawsze po tych główkach nas powyglądał, szczypał po bródkach.

– Czy był w jakiś sposób nadzwyczajny, niecodzienny?

Był to człowiek z widocznymi oznakami dobroci, sama dobroć. Miał w sobie jakiś trudny do wyrażenia dar, ten jego uśmiech, łagodność...

– Ostatnie Pana słowo do czytelników „Studiów Płockich”?

W naszym kraju trzeba więcej stawiać na oświatę, wychowywanie młodego pokolenia, tak jak to było przed wojną. Polska Organizacja Zbrojna powstała dzięki nauczycielom, oni ją stworzyli. Mamy najwspanialszą młodzież na świecie, najładniejsze kobiety, wszędzie to powtarzam. Młodzi Polacy często wygrywają konkursy międzynarodowe. Uważam, że w całej Europie nie ma zdolniejszej młodzieży. Widzimy dążenia do stworzenia Stanów Zjednoczonych Europy, stąd niezbędna jest znajomość języków, aby nasza młodzież mogła w takiej Europie sprawować rządy. W XX wieku mieliśmy czterech wybitnych Polaków: Piłsudskiego, Pendereckiego, Wyszyńskiego i Jana Pawła II. Nikt nie może się z nimi równać. Marszałkowi Piłsudskiemu zawdzięczamy powstanie państwa polskiego. To zaś, że przetrwaliśmy jako naród, zawdzięczamy Kościołowi katolickiemu. Musimy o tym pamiętać.

– Bardzo dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Adam Matyszewski, Płock 13, 20.03.2008.